№ 16.

WARSZAWA, DNIA $\frac{10}{22}$ Kwietnia 1865 R.



NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. w Warszawie *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). Na Prowincji *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75). — W Cesarstwie i Królestwie, z dopłatą kopert pocztowych *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop. 50); *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 kop. 75).

Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą. — **Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki**, prosimy adresować. — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie, ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

PO DNIESTRZE

OD ANUTY DO CHOCIMIA.

Chociaż moja izba od podłogi do powały wyłożona gałęziami bukowemi, tem rzeczywistem godłem Bukowiny, chłodna a pełna woni czarownéj... przecież duszno piersi stęschnionéj do Bożego świata, do słońca co dogrzewa Sierpniowym skwarem. Wyszedłem do sadu okalającego chatę, a był on pełen czarno-śliwu i grusz obciążonych dojrzewającym owocem. W wiosce panowała niezwykła cisza, gdyż cała ludność niewyłączając i mego gospodarstwa, powędrowała do sąsiedniego sioła na jakieś święto miejscowe.

Tylko wieczno-żywa natura, kąpiąc się w południowych promieniach słonka, nie ustawała w swéj pracy a przeciwieństwo to silnie przemawiało do rozbujanéj imaginacji. Położyłem się pod cieniem zawiesistéj gruszy, w tym lubym stanie rozkołysania, gdy uśpione zmysły pozwalają wyzwolić się duszy i wędrować jéj w krainy na pół rzeczywiste na pół urojone. Szmer Dniestrowéj fali toczącéj się po skalistem łożu, szum lasów Bukowiny przywodziły na pamięć owe okolice, ograne czarowną pieśnią Magnuszewskiego. To znów cykanie polnego konika, lub brzęk pracowitéj pszczółki, zajmowały myśl obrazami rozkosznéj przyrody. Długo już musiałem zostawać w tym stanie snu na jawie, gdy ucho moje uderzył nagle dźwięk mowy ludzkiéj. Roztworzyłem przymknięte oczy i spojrzałem przez gałęzie. Na kilka kroków przedemną w bliskości niewielkiego pszczelnika, na powalonéj kłodzie siedziała dziewczynka, nie więcéj lat piętnastu. Twarzyczka jéj prawie brzydka, jednoczyła razem tyle dowcipu i ułudnéj kokieterji że mimowoli zwracała uwagę swoją oryginalnością. W stroju znać było staranie i zamożność, a głowa ubrana w kwiaty świeże. U nóg na ziemi na pół leżał chłopiec, obliczem wprost zwróconym do słońca, które w całym południowym blasku ostre rzucało promienie. Postać tak wyrazistością

rysów jak i całym wdzięcznym układem służyć mogła za model rzeźbiarzowi. Był jednak prawie w łachmanach, a głowę miał okoloną tylko jasnemi jak grzywa wijącemi się kędziorami, spływającemi na wybornie ukształcone barki. Dziewczyna poprawiała z ukrytym wewnętrznym niepokojem wyszyty brzeg rubaszki, a chłopak dobył fajki i nałożywszy poprawił się tak, aby cień dzieweczki zasłonił go od palących promieni słońca.

— No jakżeż się usprawiedliwisz? zapytał w dźwięcznem narzeczu ruskim, a tonem wyrażającym gniew tłumiony.

— A cóż się mam usprawiedliwiać! brzmiała odpowiedź. Powiedziałam ci wszystko!

— To myślisz że uwierzę!

— Kiedy nie wierzysz, twoja w tem dobra wola!

Nastąpiło milczenie, w ciągu którego chłopak przygniatał paznogciem tytoń w fajce.

— Po cóż ty z nim chodziła? zapytał znowu.

— A dla czegóż z nim miałabym nie pójść?

— Ale dla czegoś go całowała?

— Jego? Całowałam? I na twarz dziewczyny wybiegł taki grymas kokieterji, jakiegoby jéj i miejska pozazdrościła bałamutka.

Chłopak rzucił jedno z tych kwiecistych miejscowych, ale niepodobnych do oddania przekleństw.

— A jeżeliś go całowała?

— Widziałeś? co?

— Nie widziałem, lecz on mi sam mówił!

— Kłamie niegodziwiec! zawołało dziewcze kraśniejąc.

— Dla czegóżby miał kłamać?

— Ażeby nakpić z takich głupców jak ty. Oto!

— No... no... kręć jak chcesz, odparł chłopiec a ja już dawno widzę jak się wdzięczysz do parobków. Bacz tylko, ale jak cię pochwycę, zbiję na śmierć. Dziewczyna na chwilę umilkła, lecz w oczach błysnęły łzy. Sądziłem że się rozpłacze, lecz przeciwnie w mgnieniu oka po téj chwili słabości twarz jéj oblała się dumą.

— Wiesz że cię lubiłam, odrzekła silnie, żem obiecała iść za ciebie, chociaż ty biedny a jam bogata. Znosiłam nieraz twoje szaleństwa bom była winna, lecz teraz podwodzisz na mnie niesprawiedliwie i jeszcze obiecujesz bić! Niedoczekanie tego...! nie pójdę za ciebie!

— Wszystko mi jedno! znajdę dziewkę ładniejszą!

Dziewczyna nadęła wargi.

— Poszukam i ja sobie chłopca!

— Tyś go już przecie znalazła!

— Tak! znalazłam! Daj mi pokój! I łzy znowu gotowe były trysnąć. Znalazłam! i wiesz nie pójdę już z tobą bawić się... ty znasz ładniejsze!

— A tyś mi nie wytykała biedy? odparł malec zapalając na nowo przygasłą fajkę.

Dziewczyna zapłakała, lecz płakała tak że łzy dodały jéj wdzięku. Chłopak to spostrzegł:

— Czegoż płaczesz? zapytał już nie tym spokojnym głosem, którym mówił poprzednio. Wolnemu wola, kochasz drugiego całuj się z nim, ale kiedy mnie lubisz, nie pieść drugiego, gdyż zbiję i jego i ciebie.

— Ja z nikim niecałowałam się!

— To! to! ale pamiętaj na drugi raz...

— Nie będę!...

W téj chwili chłopiec powstał szukając krzesiwka i spostrzegł mię za krzakiem... Przymknąłem prędko powieki udając śpiącego. Nie oszukało to ich przecież, poszeptali chwilę i frunęli jak ptaki. A co ja myślałem? Myślałem o tych niedorostkach i o téj wczesnéj miłości i o tem życiu wieśniaka bukowińskiego, które się zaczyna niemal w dzieciństwie i tak szybko kończy przedwczesną starością, pośród znojów i trudów pracy.

Tymczasem przeskoczywszy płotek ogródka, wyszedłem na szeroką ulicę Anuty, gdziem już kilka dni w ciągu mojéj wędrówki zabawił. Chaty rozrzucone po obu stronach krętego jaru staczającego się na brzeg Dniestru, umajone sadami ze śliw i grusz, obmyte wązkim strumieniem, oryginalny przedstawiały widok. Dniestr jeszcze tu nieznaczny, ale już bystry opuszcza przy Anucie austryackie dzierżawy, i rozdziela wioskę.

Okolice to prześliczne. Dniestr wyrzyna się kamienistem łożem w śród malowniczych brzegów, biegnąc do Chocimia, odkąd idzie granica Austryjacka po zachodniéj krańczyznie Podola. Kąt ten od Anuty do Chocimia stanowi niezmiernie ciekawą miejscowość, składającą część Bukowiny, należącéj niegdyś do paszy Chocimskiego czyli *Raję* i dla tego też mieszkańcy do dziś dnia nazywają się między sobą *Rajanami.* Rozumie się, nie zostało tu ani śladu panowania tureckiego, lecz miejscami spotkać można jeszcze pyszne ogrody z fontannami zbudowanemi przez turków. Żyje też jeszcze kilka starców, którzy przechowali pamięć niewiernych... i dziwna rzecz, wspomnienie wcale nie gorzkie. Włościanin niedoznawał krzywdy prócz tego, że niepodobna mu było utrzymać w chacie ani pięknéj żony ni córki, gdyż turcy przemocą zabierali je do swoich serai. Zresztą upłaciwszy się żyć można było spokojnie. Błądząc chwil kilka po Anucie miałem na widoku wyszukanie zniknéj mi pary, zaciekawiającéj naiwnym swoim romansem.

W téj wędrówce nie do jednéj wstępowałem chaty, bo choć mieszkańcy je opuścili spiesząc na praźdnik, to przecież stały one otworem zostawione na opatrzności Bożéj. Izba małoruska, z tą tylko różni-

cą, iż chaty w większéj liczbie kurne, bez kominów i dym wypełniając izbę wychodzi okrągłym otworem w sieni. Na sprzętach już znać wpływ Mołdawii, mianowicie mnóstwo tu dywanów i dywaników, przybitych i rozesłanych wszędzie, gdzie tylko można. Stanowi to charakterystykę na pierwszy rzut wpadającą w oko. Gościnna izba przystrojona wszędzie czysto, porządnie i musi być już bardzo biedny włościanin, kiedy się mieści w jednéj. Za Chocimem ku Dniestrowi mieszkają wszędzie ubogo, lecz ile możności, starają się o posiadanie choć jednego dywanika. U bogatszych na ławach rozwieszone są wojłoki. Oryginalną także jest pościel i przypomina zwyczaje wschodnie. Składa się ona z mnóstwa poduszek o kolorowych poszewkach, okrytych wielką ilością prześcieradeł i dywaników zwiniętych we czworo, a przeznaczonych na posag dla córek.

Próżne jednak były moje poszukiwania, dziewczęcia nigdzie znaleść nie mogłem. I rzeczywiście spotkałem ją dopiero późnym wieczorem tegoż dnia nad brzegiem Dniestru, zawodzącą żale i lamenta.

— Bóg z tobą dzieweczko, co ci? pytam.

— Ach paniczu, gęsi mi przeszły na tamtą stronę rzeki, a tu noc, jakże ich spędzę!

— Może przypłyną!

I nuż zaczęliśmy nawoływać gęsi przy srebrnym blasku księżyca. Głupie ptaki widocznie się jednak uparły pozostać w sąsiedztwie.

— O! ja nieszczęśliwa! biadało dziewcze, wszystkie mi pokradną...

— A gdzież twój kochany? zagadnąłem.

— Jaki kochany? spytała kraśniejąc.

— Ej! pogroziłem jéj palcem, widziałem was!

— Dziś w ogrodzie?

Dziewczyna z dumą podniosła głowę:

— To mój narzeczony rzekła... za dwa lata pójdę za niego.

— A matka wie? pytałem.

— Nie, nie, teraz jéj o tem nie trzeba mówić...

— Dla czego?

— Bo by nam przeszkadzano swobodnie bawić się!

— A więc lubisz się bawić?

Dziewczę zachichotało, kręcąc róg białéj rubaszki. Wyglądała w téj pozie, po nad sinemi wodami Dniestru, jak fantastyczna rusałka, spowita srebrnym blaskiem księżyca. Wrażenie psuły nieco gęsi, których niespokojne krzyki dochodziły z drugiego brzegu.

— Cóż będzie z niemi? zapytałem znowu dziewczyny.

— Ha paniczu, ja tu poczekam, [a wy jeśli łaska dajcie znać do naszéj chaty; przyślą mi w pomoc parobka.

Nie mogłem się oprzeć téj prośbie, z tak naiwną zresztą szczerością wyrażonéj; pobiegłem więc na wskazane mi miejsce, gdzie wśród zagłębienia dwóch czarnośliwem okrytych wzgórzy, stała chata dziewczyny. Ogień gorzał na kominie, jaskrawo oświetlając wnętrze; gospodyni zajęta była przyrządzaniem wyłącznego tutaj pokarmu z mąki kukurydzowéj zwanego *mamałygą*. Za zwyczaj gotuje się wodę w kociołku i w miarę wrzenia, wrzuca mąkę garściami mięszając łyżką. Kiedy ugotuje się ciasto wyjmują na czystą deskę, krają nitką i jedzą z mlekiem, masłem, twarogiem, solonemi ogórkami, stosownie do okoliczności. Ostudzona mamałyga, zastępuje chléb, który w tych okolicach jest istotną rzadkością; dzieci też w ogóle dużo jedzące, naprzykrzają się tutaj nie o chleb ale o mamałyżkę. Nie znam pożywności tego pokarmu ale wiem, iż bardzo jest sytny. Muszę zaś dodać, że w tym zakątku Bukowiny nie znają innych pokarmów, nawet na stołach zamożnych włościan jak barszcz i mamałygę.

Gospodyni wysłuchawszy mię wysłała w pomoc parobka i gościnnie zawezwała do misy, napełnionéj kurzącą się mamałygą z twarogiem. Odmówić byłoby to postąpić sobie bez taktu, narazić swoją popularność w oczach mieszkańców Anuty, na szwank niczem nie powetowany. Wkrótce zjawił się też i właściciel chaty, podżyły gospodarz z charakterystycznem obliczem, znamienującym małoruskiego wieśniaka. Jakaś łatwość w obejściu usunęła owe trudności pierwszych chwil zapoznania się, i po kilku minutach rozmowy, byliśmy z sobą tak, jakbyśmy zjedli beczkę soli. Włościanin zdawał się bywalcem i widocznie kraj graniczny, posłużył mu do szybszego rozwoju pewnych wyobrażeń i wiadomości. Powróciła też niedługo i moja rusałka z nad Dniestru a przygoda jéj stała się przedmiotem rozmowy w chacie. Ojciec matka, parobcy, śmieli się z dziewczyny i z jéj kłopotu.

— Głupia! mówił gospodarz, cóż wielkiego że gęsi przeszły na drugą stronę, wartoż było płakać? czort ich zabierz!

— Lecz przecie to wasza strata zagadnąłem.

— Jaka strata, odrzekł śmiejąc się. Mnie dziś kilkoro gęsi przejdzie na tamtą stronę, to ich sobie zabiorą, a ja mam powód zabrać im dwa razy tyle, gdy przyjdzie koléj na mnie. Nie gęsi to prosiaka nie prosiaka to wieprza...

— A jak zaskarżą?

— Ba gdzieby im skarżyć, oni wolą znów czatować na sposobną chwilę, aby odbić co stracili. U nas ten mądry co najwięcéj weźmie.

— Więc wy w ciągłych jesteście zatargach?

W jakich zatargach? my w ciągłéj jak Bóg przykazał zgodzie. Przypadnie praźdnik u nas, to jemy

wspólnie ich gęsi, a gdy święto z tamtéj strony, to przez Dniestr wybieramy się na własną prosiencinę. A zresztą mamy też i wspólne interesa...

Tu gospodyni widząc iż mąż zbytecznie się rozgadał, przed nieznajomym, uważała za stosowne wmięszać się do rozmowy i nadać jéj inny kierunek. Wkrótce też pożegnałem gospodarstwo, zbudowany tą wzajemnie zgodną walką, nie kończącą się nigdy w przywłaszczaniu cudzych rzeczy.

(d. n.)

---

* * *

Z dzisiejszą pogadanką w niemałym jestem kłopocie, tak jakoś trudno odetchnąć po uciechach święconéj zastawy. Dnie poświęcone nawiedzaniu Grobu Ś. przeszły jak zwykle, w ciszy i pobożności. Tysiące, roiły się oddając cześć Panu nad Pany, i zlewając łzami stopy Chrystusa na krzyżu ozpiętego. Uroczystości kościelnéj więcéj poważnéj, więcéj przejmującéj jakiemś niewytłumaczonem uczuciem, pokory i poddania się, nie znam.

Te tłumy ciągnące od kościoła do kościoła, bez względu na stosunki wiążące ze światem rodowe, herbowe i pieniężne, mięszające się z sobą, popychające, tłoczące w jednym celu wspólnym dla wszystkich, są jakby symbolem jedności rodu ludzkiego. Wieśniacy nie mają o niéj nawet wyobrażenia: są to dnie żałoby chrześcijańskiéj, pociechy duszy i przypomnienia nicości człowieka.

Same Święta Zmartwychwstania Pańskiego spędzono jak zwykle w kółkach rodzinnych, w południowych zaś godzinach Warszawa wysypała się na plac przed Ujazdowem, ustrojony huśtawkami, karuzelami, młynami djabelskiemi, szałasami z jadłem i napitkiem, budami z różnego rodzaju widokami, gimnastykami, błaznami, pomiędzy któremi królowały dwa wysokie słupy pomazane mydłem szarem i ustrojone nagrodami dla zręcznego zwycięzcy. Przy błaznach i przy słupach, najliczniéj roiły się tłumy ciekawych.

Odwiedzano także nader licznie, *wielkoluda*, jak ludek Warszawski przezwał biedaka co zgubiwszy miarę w wyrośnięciu niezwykłem, uznał się za przedmiot godny podziwu i oglądania za pieniądze. Mierzono się z nim, porównywano, wypytywano o szczegóły życia jakby urodzonego w środku ziemi, lub spadłego na padół nasz z innéj planety; wszystkiemu się dziwiono, nogom, rękom, nawet palcom, a gdy powiedział że ma żonę wyższą od siebie o głowę, zdumienie nie miało granic, i w dobroduszności żart wzięto za prawdę.

Jeżeli to prawda, że kto chce być zdrowym powinien dobrze jeść, pić, spać i nic nie robić, a zdrowie jest jedynym prawdziwym skarbem człowieka, to Wielkanocne Święta mogą słusznie nosić nazwę fabryki zdrowia, i być najcelniejsze pomiędzy wszystkiemi. Wprawdzie żołądek z głową stanowi dwa magazyny karmiące każdego człowieka, więc należy się im pamięć, i uszanowanie, ale ludzie jak ludzie w niczem miary nie zachowują, i często głowy zostawiając na boku, żołądki za nadto czułą otaczają opieką. Święta przebyte najlepszym tego dowodem, a przeszły w rozmaitych zmianach, chłodnych, ciepłych, to w pogodzie, to w deszczu, różnie jak to zwykle bywa na świecie. Wszędzie szynk, kiełbasy, łbizny i głowizny były wyborne, szczególniéj dla ściśle głodzących się i poszczących, baby udały się bo nieudarzonych na sprzedaż nie wystawiają, w domu zaś gdzie wyszły z pieca pokurczone i pokrzywione to je olukrowano, ocukrowano, przystrojono i razem z *mazurkami* jak to mówią spałaszowano.

Połysk zatem, i lustr wszędzie popłaca; ale przy chwackich *mazurkach*, poważne *baby* to jak kwiatek przy kożuchu. Czyż nazwy te tak przeciwne sobie miałyby być dalszym ciągiem owych przygryzków i dogryzków jakiemi świat płeć niewieścią tak szczodrze obdarza?

Powiadają np. że panienki są to róże wypuszczające kolce dopiero po zamążpójściu: że magazyny modne, bławatne, złote i krawieckie, posiadają najniezawodniejsze środki leczące w jednéj chwili, spazmy muszki, grymasiki i różne dąsy i dąseczki, i że wreszcie:

Panieneczki
To koteczki.
Bo kot rani pazurkami,
A panienki oczętami.
Kotek zgrabny, żwawy, zwinny
I pokorny i niewinny
A pastwi się nad myszkami,
Jak panienki nad chłopcami.
Kot zalotnie się umywa
Kiedy gości się spodziewa
I panienki się muskają
Kiedy chłopców wyglądają.
Z tąd gdy z czasem panieneczki,
Pozmieniają się w żoneczki,
To ich nie zwą imionami,
Lecz po prostu koteczkami.

Ale o żonach jeszcze straszniejsze opowiadają rzeczy. Mówią np. że księżyc musi mieć żonę, bo się

często z rogami pokazuje, że dopóki żona sama się stroi, to jeszcze pół biedy, ale jak zacznie męża przystrajać, to już cała bieda na wierzch wyłazi głową mężowi. Mówią również, że żony dla tego tak wcześnie nabywają zmarszczek, że się za często na swych mężów marszczą; że mężowie dla tego zalewają sobie głowy że je żony zbytecznie, suszą; że im żona mniejsza wzrostem tym lepsza, bo każde złe im mniejsze tym dogodniejsze, że wreszcie żony mogą być spokojne iż ich mężowie z miłości nie pozjadają, bo nawet nienadkąszone, a już stoją kością w gardle.

Rzecz jednak szczególna, że w tym potoku kłującego dowcipu, którego i w setnéj części nie przytoczyłem, nic prawie nie odnosi się do mężów. Widocznie autorstwo mężczyznom przypisać należy, a przedewszystkiem podtatusiowéj kawalerji, usprawiedliwiającéj choć tym sposobem zasuszone i zamarynowane swoje lata. W każdym razie, kobiety przynajmniéj od zarzutu złośliwości mogą być wolne, bo oddać piękne za nadobne, rzecz nie trudna.

W IMIONNIKU P. S.

Je t'adore ange...
V. Hugo.

Cicha, nieznana tłumom, nieświadoma siebie
Rozkwitłaś, jak lilija w anielskości szacie,
Jasna jak drżąca gwiazdka na pogodnem niebie,
Czysta jak kropla rosy na kwiatu bławacie.
Rozkwitłaś... cichy, wonny poranek majowy
Oblał cię czarem światła i perłami rosy;
A w twój wieniec dziewiczy wplótł kwiat kalinowy
I złocone, poważne dojrzałości kłosy.
Cicha, jak na marzącą w kolebce dziecinę
Biały anioł ppkoju, oczyma jasnemi
Patrzysz na rozszalałą burz ziemskich krainę.
Oh! nie zginiesz wśród wirów! skrzydłami lekkiemi
Przepłyniesz wrzącą życia falami głębinę,
Bo ziemia umie czcić tych, co panują ziemi.

Adam Maszewski.

DO * * *
Z WIKTORA HUGO.

C'est une âme charmante.
Diderot.

Gdybym był królem, o dziewczę moje,
Dałbym królestwo, dałbym koronę,
I skbrby mnogie, nieprzeliczone,
I berło władzy i ludu roje
Zawsze posłuszne na me skinienie,
I flotę taką potężną, srogą,
Że jéj mórz fale objąć nie mogą
Za jedno ócz twych spojrzenie!

Gdybym mógł więcéj, dziewcze jedyne.
Oddałbym ziemię, powietrza tonie,
I odmęt śpiący w wieczności łonie,
I niebian, duchów piękną krainę.
Na me rozkazy wiecznie gotowych;
I światy, nieba i mórz otchłanie,
Za jedno, jedno pocałowanie,
Twych cudnych ustek różowych!

WIENIEC I GWIAZDKA.

Zwiądłeś mi prędko wianeczku zielony.
Bystra Cię woda porwała!
W takie dalekie uniosła strony,
A jam po tobie płakała.
I przyszedł ojciec, i przyszła matka.
I przyszli dobrzy sąsiedzi.
Cała poczciwa cicha gromadka,
Jak moim smutkiem słę biedzi.
Czy to choroba? może uroki?
Zawistne oczy rzuciły;
Zkądżeż dziewczęciu ten żal głęboki,
I łzy co uśmiech wypiły?
Idźcie spokojnie mnie nic nie trzeba.
Głowa i serce przeboli.
Spadła mi gwiazdka z jasnego nieba.
Łzy za nią płyną powoli.
I fala z rąk mi wieniec porwała,
O! mój wianeczek zielony!
Jam tek za gwiazdką wiankiem płakała,
Gdy je nurt uniósł spieniony,
A dziś tam w modréj leżą już toni,
Czarne je kryją głębiny,
I nie wypłynie i nie zapłoni,
Wianek ni gwiazdka dziewczyny!

Nietulisko 20 Sierpnia 1864.

Liljana.

Kronika literacka.

Portrety przez Lamartina. Paryż u Hachetta 1865 r.

Książka ta na eleganckim welinie Hachetta, łatwo wpaść może w ręce naszych Czytelniczek, a podznaczona nazwiskiem Lamartina wzbudzić ciekawość, któréj też wcale hamować niemyślemy. Portrety są rzeczywiście napisane z wielką elegancją, z wielką pięknością stylu co zawsze jest znakomitym przymiotem pisarza, zawierają zaś wizerunki historycznych osób. Pomijając portrety mężkie naznaczemy dwa kobiece: Charloty Corday i pani Roland. Szkoda jednak że obydwa nic nam nowego nad piękne frazesa nie przedstawiają, a stoją nawet niżéj od dotychczasowych wiadomości w tym przedmiocie... ogłoszonych w saméj Francji. Dziwi to nie mało, trudno się bo-

wiem było spodziewać, aby Lamartin nie zadał sobie pracy przeczytania tego co innym dobrze wiadome.

Sebastjan Klonowicz. Obraz z ciernistego żywota wieszcza przez Jana Zacharjasiewicza. Wydanie ku uczczeniu uroczystości odsłonienia pomnika Sulmierzyckiego na dniu 10 Czerwca 1862 r., i uwiekopomnienia wśród ludu pamięci poety. Chełmno 1862 r.

Jest to powieść w rodzaju Kochanowskiego Hoffmanowéj. Powieść poczciwie, serdecznie napisana, a wielce ciekawa już z tego samego względu, że powszechność u nas dotąd jeszcze niezbyt dokładne ma pojęcie o Klonowiczu. Do niedawnych czasów, ludzie nawet specjalni, studjujący literaturę, znali tylko polskie pisma tego poety, łacińskie bowiem były wielką rzadkością, z powodu że je wyniszczano bardzo starannie. Jaki zaś był tego powód, wyjaśnił dopiero Kraszewski, zdobywszy się na niemałą cierpliwość przeczytać sążnisty, bo z czterdziestu czterech pieśni złożony poemat łaciński Klonowicza, noszący napis: *Zwycięztwo Bogów*. Właściwie, dzieło to, które Klonowicz opracowywał aż lat dwanaście, nie jest wcale arcydziełem; jest to raczéj dość suchy traktat, występujący do walki z przesądami. Że jednak prawda nigdy nie bywa miłą, prześladowanie hojnie zapłaciło poecie chęć wyprzedzenia swojéj epoki. Dzieło jego palono publicznie, on sam zmuszony był uciekać, kryjąc się z życiem. Nie małą w tem grali rolę Jezuici, których był już poprzednio zaczepił dość zuchwale. Ale najwięcéj podobno śmiała zasada, którą usiłuje przeprowadzić w Zwycięztwie Bogów. Nie dość jest, powiada, urodzić się szlachcicem, trzeba też i szlachetnie żyć i umrzeć szlachetnie, a wtedy dopiero godnym się jest swych przodków. Dodajmy do tego, że człowiek wypowiadający podobną naukę pochodził z ludu, i przeto wielce był zależny od wpływu możnych, a zrozumiemy: dla czego, pomimo świetnego miejskiego stanowiska, jakiém się cieszył z łaski swoich współbraci, umarł jednak w ostatecznéj nędzy, w szpitalu. Powieść bardzo dokładnie uwydatnia męczarnie duszy, nietylko orlim lotem wylatującéj ponad sferę swego pochodzenia, ale i ciężko pracującéj nad naprawą społeczeństwa, wśród którego żyć jéj dano. Ciężkież to zapasy ze światem otaczającym, ale może cięższe jeszcze z sobą! Człowiek się w nich zużywa; tylko że to na korzyść drugich, więc też, chociaż świat takich walk nie płaci, to za to, płaci je hojnie Bóg sprawiedliwy uznaniem potomności. Za dni naszych, wystawiono pomnik Klonowiczowi w rodzinnem jego mieście. Trochę to późno, bo aż po trzystu latach tradycyjnéj niechęci zawiści nawet, zapoznania zasług, wszakże lepiéj późno jak nigdy. Wartoby także zrobić cóś dla niego w Lublinie, gdzie urzędował i umarł. Miał tam swój dom, wartoby go wyszukać, i choć na nim umieścić jaką taką tablicę pamiątkową. Wystawić mu bowiem grobowiec, byłoby rzeczą niewczesną. Ciało nędzarza umarłego w szpitalu, wrzucono do wspólnego dołu; i już tylko na Sądzie Pańskim zbiorą się znowu w jedno szacowne kości, których już dziś nic nie wyróżnia. Powieść o Klonowiczu smutna jest jak jego życie, niemniéj jednak wielce ucząca. Czytajcie ją ludzie umysłu, a mianowicie serca, wyjdzie wam na pożytek nie mały. Obok osoby wiekopomnego Acerna, znajdziecie tam Marcinka sierotę, biedną prozę życia, niedorastającą posągowéj wielkości swego wzoru, istotę wdzięczną, usiłującą nadążyć krokom wielkoluda, kolibryka, który ślepnie, usiłując koniecznie jak i jego orzeł patrzeć w słońce. Serce wyprzedzało w tym człowieku żółwie pełzanie, byłby się może i oderwał od ziemi, ale skrzydeł nie miał. W tém mocowaniu się ustawicznem, w tych cierpieniach nie swoich, olśnił i pomięszały mu się zmysły. Biedny Marcinek, on tak kochał swego Sebastjana, swego niedosięgłego Mistrza! Nie można tego powiedzieć o żonie poety. W prawdzie tak samo go nie rozumiała jak Marcinek, ale ten kochał go przynajmniéj aż do śmierci, podczas kiedy piękna Krysia, może więcéj mu jeszcze struła życie od najzawziętszych jego nieprzyjaciół. Wprawdzie z nieprzyjacielem niebierzę się ślubu, ani mu się przyrzeka wierność i dozgonną opiekę, ale też za to, żona znowu ślubuje wierność i posłuszeństwo aż do śmierci, a Krysia ani wierną była Sebastjanowi, ani go słuchać chciała. A jednak, można było słuchać tego człowieka nie nakazywał bowiem nic nie zgodnego ani z czystem sumieniem, ani choćby jak to mówiono dawniéj z krótkim rozumem kobiecym. Przebaczcie, mówimy tu wyłącznie o długowłoséj Kryzi, córce koralnika z Lublina. Jeśli po trzystu latach niedbania, zdobywamy się dziś wreszcie na oddanie sprawiedliwości wielkiemu poecie, nie wahajmy się też przyłożyć piętno hańby do czoła kobiety, która mogąc mu być osłodą i uweseleniem życia, wybrała raczéj stanąć po stronie jego nieprzyjaciół. Tylko że znowu, jak powiada Krasicki, nie mielibyśmy może Sokratesa, gdyby nie Xantyppa. Słowem nie ma złego coby na dobre nie wyszło. Bądź jak bądź, powieść o Klonowiczu prawdziwa jest, i jak bądź by resztę rozsądzać, nie podobna odmówić nie małéj zasługi zacnemu pisarzowi, próbującemu oddrammatyzować życie, którego smutny koniec tak po mistrzowsku niegdyś natchnął Syrokomlę. W prawdzie, na tytule powieści powiedziano: że głównem zadaniem jéj jest uwiekopomnić wśród ludu pamięć poety, co jak na dzisiejsze wykształcenie ludowe zdaje się być jeszcze anachronizmem, gdyż w takim razie należałoby o wiele uprościć formę; niemniéj wszakże dobra chęć zasłu-

guje na zaszczytne uznanie, a nawet, poczekawszy niedługo, i w czyn zamienić się może. Prace bowiem takie, ani się starzeją, ani przedawniają, i nawet nieraz, długo ukryte w cieniu, w stosownéj chwili wychodzą znowu na światło, czego można by przytoczyć nie jeden dowód, równie zwycięzki na korzyść prawdy, jak pożyteczny społeczeństwu. Powtarzamy, książeczka jest nie wielka, ale pełna zbawiennéj nauki.

Y. Z.

Korrespondencja z Paryża.

Paryż dnia 15 Kwietnia 1865 r.

Z pomiędzy towarów letnich wyprawionych z tąd do Warszawy do magazynu p. Tonnesa podobały nam się bardzo fulary na tle szarym, popielatym, lapis, niewarowym (*ecru*) i niebieskim (bleu Mexique). Kolory te najwięcéj dziś używane. Jedne z tych fularów, mają drobny rzucik, inne są w deseń perski, bardzo modny w tym roku. Sztuka takiego fularu na suknię wypada od złp. 180 do 220.

Uważaliśmy lekkie wyrobu na suknie, jedne w rzucane bukiety, z odpasowanym szlakiem, inne w rodzaju perskim. Zalecamy również piękny dobór *Lenosu* i alpagi na tle białym i szarym, oraz bareżu w paski *chinée*, lub w broszowany rzucik. Nie możemy pominąć i ładnych perkalików na tle popielatym i szamoa w drobny marmurek, ze szlakiem ciemnym odpasowanym, do koła spódniczki i paletocika.

Pan Tonnes zakupił wiele pięknych okrywek letnich, tak jedwabnych jak i wełnianych. Najwięcéj między niemi krótkich paletocików z jasnego kortu w rozmaitych odcieniach przybranych pasmanterją albo aplikacją z sukna. Beduiny kaszmirowe w pasy, odznaczają się gustem jak również gładkie wyszyte u dołu kolorowym jedwabiem w palemki. Z tańszych uważaliśmy ładne paletociki wełniane gładkie, w drobne paski albo z materjału jakby plecionego. Są również i gotowe ubrania złożone ze spódniczki i paletocika, z lekkich wełnianych tkanin.

Spódniczki pod suknie z pięknym szlakiem perskiem albo szkockim na białem lub kolorowem tle, odznaczają się prawdziwie dobrym gustem. Niektóre znów mają szlak naszywany sutaszem.

Ładne koszulki zasługują także na wzmiankę zwłaszcza że w tym roku, powszechnie ich używają do mniejszego ubrania. Zwróciły uwagę naszą fularowe *ecru* wyszywane ciemnym sutaszem. Z białych odznaczają się cienkie webowe, wyszyte kolorowo. Oprócz tego jest także dobór koszulek muślinowych na rozmaite ceny. Wspomniemy tu jeszcze o zuawkach i kaftanikach wełnianych, jedwabnych i aksamitnych, naszywanych pasmanterją i grelotkami.

Podobały nam się bardzo ubrania dla dziewcząt i chłopczyków. Dla dziewcząt sukieneczki z białéj alpagi ubierane materją niebieską *(bleu Mexique)* i pąsową. Dla chłopczyków ubranie składa się z zuawki lekkiéj korcikowéj naszywanéj aksamitką, takichże samych majteczek i takiéj kamizeleczki. Garnitur kosztuje złp. 60 na chłopczyka 5cioletniego. Są także ładne paletociki popielate i szafirowe korcikowe, tak dla chłopców jak i dla dziewczynek.

Z pomiędzy kołnierzyków, bardzo ładne są w guście Tureckim, haftowane na płótnie kolorową włóczką, i muślinowe z przedłużonemi końcami z przodu, przybrane walansienką i wstawką haftowaną. Garnitur tych ostatnich wynosi złp. 46 gr. 20.

Zalecamy piękne siatki, przerabiane wielkiemi perłami w różnych kolorach, oraz siatki zwane *Marie Stuart*, z zębem wpadającym pomiędzy nioby. Jest także mnóstwo jedwabnych siateczek do pokrycia koków, przerabianych blaszkami, ale te służą tylko do stroju na wieczór. Oprócz tego do ubrania głowy uważaliśmy grzebienie zwane *Impératrice*, ze złota mat, bez połysku, oraz szpilki do przepinania koków, w kształcie strzały lub sztylecika.

Z biżuterji widzieliśmy brosze, kolczyki i klamerki stalowe, oraz ze złota *mat*, powszechnie teraz używane.

Przypominamy jeszcze piękny dobór woalek czarnych haftowanych stalą i czarną sieczką. Paski skórzane z aksamitem, nabijane medaljonami ze srebra oxydowanego, parasoliki z rączką różową kościaną, naśladującą koral.

Rozmaite pasmanterje do ubrania sukien; guziki srebrne *à jour*, lub z kości, napuszczane koralową farbą; krawatki w rozmaitym rodzaju, a między niemi w chiński deseń, zwane *Bataclan*.

Pan Tonnes, zakupił oprócz tego znaczny zapas materji czarnéj *drap de Paris*, na suknie i paletoty.

Opis ryciny.

Figura 1. Szlafroczek kaszmirowy na podszewce, naszyty z przodu dwa razy aksamitką i klapkami z aksamitki w drabinkę. Klapki te obszyte wąziutkim szlaczkiem perskim. (*Gallon cachemire.*) Kołnierzyk stojący płócienny obszyty walansienką, takież mankiety u rękawków. Ubranie na głowę z czarnéj koronki, pomięszanéj z fijołkową aksamitką.

Figura 2. *Ubranie wizytowe.* Suknia zielona *poult de soie*, wycinana u dołu w zęby, objęte czarną aksamitką.

W każdym zębie guzik aksamitny czarny. Nad tym powyżéj, naszyta aksamitka szeroka na dwa palce, przepinana w odstępach takiemiż samemi pukielkami. Stanik z bawetem roztwartym na przodzie, spięty na aksamitne guziki, z tyłu mała baskina. Epolety, mankiety i baskina, przybrane tak samo jak dół spódnicy, ale węższą daleko aksamitką, i z małemi u brzegu ząbami. Kołnierzyk złożony z wszywki muszlinowéj i walansienki, takież same rękawki. Paletocik wełniany (*drap velours*) koloru stalowego, oznaczony na szwach pasmanterją czarną, z pacioreczkami z lawy, spięty na guziki szmuklerskie przetykane lawą. Kapotka atłasowa czarna, przybrana u brzegu ronda bufką z atłasu Solferino; takaż sama bufka tworzy karczek. Z boku bukiecik kwiatów, z pod niego spada kokarda z aksamitki czarnéj z długiemi końcami. Podpięcie składa się nad czołem z rulonu aksamitnego i bukiecika kwiatków, szarfy atłasowe Solferino, boki nagarnirowane białą blondynką.

Ubranie dziesięcioletniego chłopczyka. Kaftanik z sukienka brązowego, długi, spięty na rząd szmuklerskich czarnych guzików. Na lewem ramieniu węzeł przewiązany z pasmanterji. Majtki z takiegoż samego sukienka, naszyte po bokach guzikami. Buciki ze skóry cielęcéj, z kozłowemi czubkami i kwaścikami w górze. Kołnierzyk płócienny podwiązany fularową krawatką.

KORRESPONDENCJA.

Pannie Malwinie Prze: Radziemy pani zrobić suknię ślubną, z tarlatanu białego, z falbanką u dołu i z dziesięcioma gładkiemi naszytemi plisami tarlatanowemi powyżéj. Plisy te skośno krajane i złożone dubeltowo, powinny bydź na trzy palce szerokie, zakończone u góry wstążeczką atłasową albo mantynową. Stanik marszczony okrągły do paska, podszewka wycięta do gorsu. Rękawy paltotowe naszyte iodpowiednio płaskiemi plisami i wstążeczką. Suknię z b ałego *poult de soie*, można przybrać u samego dołu spódnicy, warkoczem plecionym z białéj krepy z naszyciem w odstępach dużemi białemi perłami. Stanik zupełnie gładki, okrągły do paska spiętego na klamrę z konchy perłowéj. W miejsce guzików, przy ozdobie od szyi do pasa, warkoczem krepowym. Rękawy wązkie przybrać epoletem i mankietem z pasmanterij i pereł. Diadem i upięcie nad kokiem ułożyć można z kwiatu pomarańczowego i bzu. Do sukni krepowéj albo zgrenadiny, warkocz powinien być jedwabny.—Pani Antoninie Zub: Burno z korciku szarego z aplikacją sukna w jednym kolorze albo w guście tureckim, kosztuje złp. 166 gr. 20, rotonda kaszmirowa złp. 120. — Pani L. M. Suknia fularowa, przefarbowany będzie miała rzucik biały na fijołkowy za dwa tygodnie. Próbki włóczki, ani też nitki bawełnianéj przesłanéj na miarę w liście nie było. Do rotond aksamitnych nie używają żadnéj frendzli; naszycie może bydź na wierzchu dane ze wstawki gipiurowéj i pasmanterji, a jeżeli bardzo krótka, obszyć ją koronką. O odpowiedź prosiemy. Pani A. S. Pudełko pudru złotego kosztuje złp. 13 gr. 10, pudru białego złp. 6 gr. 20 sztyleciki do włosów stosownie do materjału kosztują od 7 do 20 złp. — Pani Helenie K. Wo. Do eleganckiego ubrania dla mlodych panienek, bardzo używany *Lenos*, radzaj gęstego bareżu, którego łokieć kosztuje od złp. 5 do 8, stosownie do szerokości. Dostać go można w kolorze szarym, popielatym, lapis, lilla i havanna, kapelusze okrągłe jakie opisane były w przeszłym Numerze Tygodnika wynoszą od złp. 46 gr. 20 do złp. 60. Paltociki czarne jedwabne-jasne korcikowe i beduiny, będą najmodniejsze w tym roku.—Pani Klemen: Bo: Paltot sukienny formą *Ludwik XV* z czarnego sukna w dobrym gatunku, z dużemi guzikami lawowemi kosztować będzie złp. 160. Suknia fijołkowa popelinowa wpinana w zęby, naszyte czarną pliską skośną. Na każdym z szyciu brytów rzęd guzików czworograniastych z perłowéj konchy pomiędzy plisami czarnemi. Paltot z tego samego materjału, przybrany czarnemi plisami, guzikami z perłowéj konchy i pasmanterją.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina Paryzka.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

DODATEK

16



Gilquin fils Imp. r. des Fossés St J. 3. Paris

3422

TYGODNIK MÓD

w Warszawie

Dodatek do Nru 16 Tygodnika Mód

Warszawa dnia 10 (22) Kwietnia 1865 roku.

JOANNA EYRE

POWIEŚĆ

PANNY BRONTE (CURRER BELL)

Z ANGIELSKIEGO.

(*Dalszy ciąg.*)

— Co się stało? czy kto raniony? światła co prędzéj? Może złodzieje... Czy się gdzie ogień nie zajął? — Biegano tu i owdzie, krzątano się w niewypowiedzianém zamięszaniu, niektóre z pań płakały, nie wiedząc jeszcze wcale o co chodziło.

— Gdzież się podział Rochester? zawołał ktoś wreszcie.

— Jestem, jestem, uspokójcie się, odpowiedział gospodarz schodzący właśnie z górnego piętra ze świecą w ręku.

Panie rzuciły się wieńcem otaczając przybyłego. Rochester zaczął się bronić niby w sposób żartobliwy, ale widocznie przymuszał się do uśmiechu, bo oczami błyskał ponuro, i znać było że tylko nadzwyczajném wysileniem woli, panował nad wewnętrznem wzburzeniem.

— Wszystko to jest rzecz mała, mówił daléj... oto, po prostu służąca cierpiąca chorobę nerwową, miała jakiś sen gorączkowy i dostała spazmów. Wróćcie państwo do siebie, proszę was oto, bo się muszę zająć chorą... Panowie, dajcie dobry przykład paniom, żeby was swoją odwagą nie zawstydziły.

Goście rozeszli się, co do mnie, wróciłam do mojego pokoju, nie postrzeżona od nikogo.

Ale zamiast się położyć ubrałam się na prędce. Słyszałam bowiem nadto wyraźnie ów krzyk przeraźliwy i walkę, która po nim nastąpiła, abym mogła uwierzyć bajce wymyślonéj przez Rochestera. Ubrawszy się, siadłam przy oknie, jakby w oczekiwaniu nowego jakiegoś wypadku. Cisza zdawała się jednak wracać stopniowo, wreszcie wszystko umilkło w zamku.

Księżyc schylał się już ku zachodowi i za chwilę miał zniknąć... Czując się nieco zmęczona, umyśliłam położyć się ubrana na łóżku, i już się do tego zabierałam, kiedy zapukano z lekka do drzwi.

— Może jestem na co potrzebna? zapytałam.

— Czyś pani ubrana? odezwał się głos Rochestera.

— Ubrana.

— To chodź ze mną, a staraj się sprawiać jak najciszéj.

Usłuchałam, Rochester czekał na mnie w kurytarzu ze świecą w ręku.

— Potrzebuję pani pomocy, rzekł do mnie, chodźmy. Weź tylko z sobą gąbkę i ocet do trzeźwienia.

Spełniwszy ten rozkaz, poszłam za nim w milczeniu, a tak posuwałam się delikatnie że schody nie skrzypnęły ani razu pod moją stopą. Wdrapaliśmy się w ten sposób na trzecie piętro i weszliśmy w ów nizki i ciemny kurytarz o którym już kiedyś wspominałam. Tam Rochester dobył klucz z kieszeni i otworzył nim jedne z małych drzwi prowadzących do składów. Zanim weszliśmy jednak, zatrzymał mię na progu.

— Czy znosisz widok krwi? zapytał.

Na te słowa, dreszcz mię przebiegł, odpowiedziałam jednak.

— Zdaje mi się że go zniosę, choć tego nigdy nie probowałam.

— Tak i ja myślę, rzekł, spojrzawszy mi w oczy, i wszedł ze mną do pokoju, który otworzył.

Spojrzawszy w około, przypomniałam sobie że mi już pani Fairfax pokazywała ten pokój, kiedy z nią zamek zwiedzałam. Tylko drzwi, zwykle ukryte w obiciu, były teraz otwarte na rozcież. Prowadziły one do drugiego pokoju, dosyć jasno oświetlonego, w którym zdawało się słyszeć jakby głuche pomrukiwanie dzikiego zwierza. Rochester wszedł tam zostawiwszy mnie samą. W téj chwili dał się słyszeć w tym sąsiednim pokoju ów dziwny śmiech, który przypisywałam Gracyi Poole, śmiech głośny z razu, a zakończony jakimś mrukiem ponurym. Więc to ona była w tym pokoju.. Cóż się tam dziać mogło?.. Po kilku chwilach Rochester wrócił i zamknął drzwi za sobą.

— Teraz, rzekł, chodź tu panno Joanno.

Mówiąc to, wskazał mi w pokoju w którym byliśmy, łóżko osłonione firankami. Skoro je rozsunął, zobaczyłam człowieka siedzącego przy łóżku w krześle, z oczami zamkniętemi i głową w tył przechyloną. Był prawie całkiem ubrany, a gdy Rochester podniósł świecę w górę, poznałam od razu w téj twarzy wybladłéj i jakby już pozbawionéj życia, rysy nowo przybyłego gościa. Dostrzegłam też że koszula jego była z jednéj strony, krwią zbroczona.

— Poświeć mi i potrzymaj tę miednicę z wodą, rzekł do mnie Rochester.

Usłuchałam a on począł skrapiać wodą zemdlonego i twarz pocierać octem. Mazon otworzył wreszcie oczy i wydał jęk bolesny. Rochester odchylił mu koszulę, obmył ramię i rękę, i opatrzył bardzo zręcznie.

— Rana niebezpieczna? wyjęknął raniony.

— Gdzie tam, odpowiedział Rochester, jesteś po prostu podrapany, nie bądźże tchórzem, sam pojadę po doktora i mam nadzieję że będziesz mógł jutro rano z nim wyjechać. Joanno, mówił daléj, zostawiam cię na parę godzin z tym oto panem, pamiętaj krew tamować, jeźliby się tylko puściła z rany, a gdyby osłabł, podasz mu do ust szklankę z wodą i dasz mu flaszkę z octem do wąchania... nie będziesz zaś mówiła do niego w żadnym razie. A ty Henryku, pamiętaj że jeźli otworzysz tylko usta, albo się będziesz ruszać, nie odpowiadam już za nic.

Nieszczęśliwy Mazon wydał tylko jęk bolesny i od téj chwili ani się ruszył więcéj. Rochester spojrzał na mnie, jakby z nakazującym głosem, potém zalecił z pewnym naciskiem abym z chorym nie rozmawiała, i wyszedł zamykając za sobą drzwi na klucz.

Jakkolwiek odwaga moja była wystawiona na ciężką próbę, kiedy zostałam sam na sam z człowiekiem na w pół już nie żywym i do tego o dwa kroki od miejsca, z którego obłąkana Gracya mogła wypaść co chwila, wytrwałam jednak cierpliwie na wyznaczonym mi stanowisku.

Unikałam tylko spojrzeń na tego jak mi się zdawało konającego człowieka i na wodę zaczerwienioną od krwi, w któréj musiałam co chwila zanurzać drżącą rękę, dla większego udręczenia, oczy moje szukając miejsca gdzieby mogły spocząć bezpiecznie, spotykały na ścianach wyobrażenia apostołów w naturalnéj wielkości, niby poruszające się fantastycznie pod drżącém światłem jedynéj świecy, rozjaśniającéj ciemności tego ponurego obrazu.

Cisza zupełna panowała w sąsiednim pokoju i jakkolwiek nasłuchiwałam bacznie, nie doszedł mnie już żaden hałas z tamtąd, tylko raz, lekkie skrzypnięcie posadzki, potém głuche warczenie, niby psa, nareszcie jęk głęboki, już wyraźnie z piersi ludzkiéj pochodzący.

Nie potrzebuję mówić że przez cały ten czas, myśl moja usiłowała przeniknąć dziwną tajemnicę, w którą byłam wplątaną. Przypominałam sobie wszystkie okoliczności, rozważałam, ale mimo tego zagadka stawała się coraz bardziéj zawikłaną. Co robił w nocy Mazon w téj odosobnionéj części zamku? Z jakich powodów okazywał tak bierne posłuszeństwo mojemu panu i nie zdawał się dziwić tajemnicy, w któréj tenże chciał zachować cały ten wypadek.

Nie podobna mi było znaleźć odpowiedzi na żadne z tych pytań, odrętwiająca trwoga obejmowała mię coraz bardziéj, godziny upływały, a żadna pomoc nie przybywała. Pomimo moich starań, Mazon słabnął coraz widoczniéj, wycieńczony utratą krwi a może bardziéj trwogą, aby lekarz nie przybył za późno. Obawa ta zaczynała się i mnie udzielać, wyczekiwałam z gorącém upragnieniem powrotu Rochestera i pierwszych brzasków świtu, drżąc na samą myśl że ten człowiek może skonać zanim kto nadejdzie.

W tém, świeca dopaliwszy się zgasła,.. drgnęłam... trwoga zwiększyła się, ale w téj chwili, spostrzegłam, przez muślin firanek, szarawy brzask zapowiadający koniec téj straszliwéj nocy, i usłyszałam z daleka szczekanie Sternika. Odetchnęłam swobodniéj; niebawem otworzono drzwi z klucza i Rochester wszedł do pokoju z lekarzem.

— Słuchaj Carter, rzekł zaraz do niego, nie mamy chwili do stracenia. Daję ci pół godziny na opatrzenie rany i wyprawienie chorego gdzie ci wiadomo.

— Ale czy stan jego pozwoli na to?

— Biorę to na siebie, niema tu nic ważnego. Po prostu nerwy są rozdrażnione, trzeba działać na umysł. Tylko śpieszno!

Rozsunął żywo firanki i różowe blaski zorzy rozjaśniały od razu pokój.

— Cóż tedy? rzekł wracając do chorego, dopókiż będziesz patrzał na nas temi błędnemi oczyma? No, Carterze, dodaj mu odwagi.

— Mogę zapewnić że rana jest mało znacząca. Szkoda tylko żem nie mógł być tu wcześniéj, krwotok nie byłby trwał tak długo... Ale cóż to znowu? ciało na ramieniu jest jakby poszarpane... nie nóż sprawił tę ranę...widzę wyraźne ślady zębów.

— Ukąsiła mnie w istocie, rzekł chory... rzuciła się na mnie jak hyena kiedy jéj Rochester wyrwał nóż z ręki.

— Nie trzeba się było dawać, mogłeś jéj przecie dać radę, odparł Rochester.

— Ale czyż podobna było? rzekł Mazon, drżąc i spoglądając bojaźliwie ku drugiemu pokojowi. Czyliż się mogłem tego spodziewać?... zdawała się tak spokojną...

— Ostrzegałem cię abyś był ostrożny, z resztą mogłeś poczekać do rana, byłbym obecny widzeniu, i nic by się nie było stało. Iść do niéj samemu i w nocy to czyste szaleństwo.

— Myślałem...

— Myślałeś... otóż znowu mię niecierpliwisz, choć co prawda, masz już dosyć za swój upór. No, Carter, śpiesz się tylko na miłość Boga! Zanim słońce wejdzie, trzeba go w drogę wyprawić.

— Zaraz, zaraz, ależ ta ręka jest na prawdę okropnie pokąsana.

— Bo przypięła się do mnie jak pijawka, rzekł Mazon, ssała moją krew, wołała że chce wyssać serce ze mnie.

— Na te słowa, Rochester zadrżał widocznie, twarz jego wyrażała wstręt i nienawiść, ale niebawem powściągnął się i rzekł prawie spokojnie.

— Dosyć o tém, Henryku, na cóż się przyda powtarzać te brednie. Sam o nich powinieneś zapomnieć.

— Radbym i szczerze to zrobić, odpowiedział Mazon, — ale niepodobna. Takich wypadków nie zapomina się nigdy.

— Zapomnisz, skoro opuścisz Anglię. Powróciwszy do Spanish-Town, myśl już o niéj tylko jak o istocie, która umarła i została pogrzebaną...

— Och! nie, niepodobna zapomnieć tę noc okropną.

— Niepodobna, powiadasz? wszystko jest podobne. Ale co tu gadać tak wiele o niczem, lepiéj wybieraj się co prędzéj w drogę. A ty Joanno, pomóż nam do upakowania jego rzeczy.

Zanim to załatwiłam, Rochester ubrał chorego z pomocą lekarza, poczem sprowadzili go we dwóch ze schodów, ja zaś szłam z przodu, pilnując aby nas kto nie spostrzegł. Ale cisza zupełna panowała jeszcze w zamku i ptaki rozpoczynały zaledwie ranne świegotanie kiedy wyszliśmy z dziedzińca boczną furtką, przed którą czekał powóz w pogotowiu.

Posadziwszy w nim Mazona, Rochester rzekł do lekarza, wsiadającego także do powozu.

— Miéj o nim jak największe staranie i zatrzymaj go u siebie aż do zupełnego wyzdrowienia. Przyjadę za parę dni dowiedzieć się o jego zdrowiu. Jakże ci jest teraz Henryku?

— Świeże powietrze orzeźwiło mię trochę.

— Więc ruszajcie w drogę!

— Rochester zawołał jeszcze Mazon.

— Czego znowu?

— Rochesterze, miejcie o niéj staranie... obchodźcie się z nią o ile można łagodnie. Niechaj chociaż... Tu łzy przerwały mu mowę.

— Robiłem, robię i będę robił wszystko co jest w mojéj możności, odparł sucho Rochester, zamykając żywo drzwiczki od powozu, który zaraz ruszył z miejsca.

Potem odszedł w milczeniu szybkim krokiem, a ja wróciłam zamyślona do mojego pokoju. Kiedy szłam przez zamkowy dziedziniec uważałam że firanki zasłaniały jeszcze wszystkie okna, tylko ptaki gwarzyły już wesoło polatując po gałęziach obsypanych kwieciem, które wychylając się z ogrodu, spływały białemi wiankami po za mury dziedzińca. Niekiedy, w stajniach pozamykanych koń jaki czasami parsknął lub uderzył nogą o bruk kamienny, ale żaden inny odgłos nie przerywał ciszy tego świeżego, prześlicznego poranku.

XI.

Udział jaki mi kazano przyjąć w téj tajemniczéj sprawie, zaufania Rochestera do mnie w niczem nie powiększył. Kiedy się odważyłam wspomnieć mu o niebezpieczeństwie jakiem zagrażała obecność Gracyi Poole w zamku, odpowiedział, że już potrafi temu zaradzić. Gdy go chciałam zbadać w przedmiocie obawy jaką się zdawał czuć w obecności Mazona, nad którym wszakże wywierał wpływ tak przeważny, zbył mię ogólnikami, lub też odpowiedział pół słowami tyle ciemnemi i zawikłanemi, że się niczego z nich nie mogłam dowiedzieć ani domyśleć.

Muszę to dodać że od przybycia naszych gości, rzadko zdawała mi się sposobność rozmawiania nieco dłużéj z Rochesterem, zajętym zawsze swoją piękną narzeczoną. Zresztą, stanowisko moje nakazywało trzymanie się na uboczu, z czem nie trudno było mi się oswoić, gdyż nie czułam wcale zazdrości, jak już o tem wspominałam. Przyjmowałam prawie spokojnie moje przeznaczenie, a przewidując że lada chwila wypadnie mi oddalić się z Thornfield, używałam z tęschną chciwością ostatnich dni mojego w nim pobytu.

Właśnie w tym czasie odebrałam od moich kuzynek panien Reed, list otoczony czarną obwódką; donosiły o zgonie mojéj ciotki, a przy nim Eliza i Georgiana przesyłały mi małą paczkę pod moim adresem, znalezioną w papierach nieboszczki. Ten dowód jéj pamięci zadziwił mię mocno z razu, ale mniéj daleko skoro się dowiedziałam jakiego był rodzaju. Pamiątka jaką zapragnęła zostawić po sobie pani Reed, była tylko ostatnim dowodem nienawiści, jaką czuła dla mnie za życia.

Otworzywszy opieczętowaną kopertę, znalazłam list następującéj treści.

„Udaję się do łaski pani z prośbą o wskazanie „mi adresu mojéj synowicy Joanny Eyre i udzie- „lenie mi wiadomości co do położenia w jakiem

„się dziś znajduje. Mam bowiem zamiar napisać do „niéj aby przybyła zamieszkać przy mnie w Ma- „derze. Uzbierałem przy pomocy Bożéj cokol- „wiek grosza, niemam dzieci ani żony, życzyłbym „więc przyjąć Joannę za córkę i zostawić jéj cały „mój spadek.

Jan Eyre, kupiec zamieszkały w Maderze.

U dołu, były skreślone ręką pani Reed następujące słowa.

„Odpisałam że Joanna Eyre umarła na tyfus w zakładzie dobroczynnym w Lowood".

List ten był pisany przed trzema laty!...

Patrząc nań, podziwiałam wyszukane okrucieństwo z jakiem moja ciotka, pozbawiwszy mnie wszelkiéj nadziei lepszego bytu, pamiętała jeszcze o tem, abym wiedziała dokładnie co utraciłam. Byłam jednak wówczas zbyt żywo zajęta czem innem, abym się tyle tą stratą zasmuciła ile mogła mnie obejść w innym czasie. Nasi goście mieli już wkrótce, odjechać i można było wnosić że zanim ich wyjazd nastąpi, związek Rochestera z Bianką ułoży się w sposób stanowczy. Uważałam tedy wszystko pilnie, śledząc z dotkliwem cierpieniem co tylko mię mogło naprowadzić na jakie więcéj uzasadnione wnioski. Ale nie dostrzegłam nic nowego ani więcéj znaczącego: pani Fairfax, którą probowałam czasami wybadać nie wiedziała o niczem lub też z niczem nie chciała się wygadać. Powiedziała mi jednak, że pewnego dnia odważyła się zapytać czy można się spodziewać powitania wkrótce nowéj pani w Thornfield-Hall? Ale Rochester miał jéj odpowiedzieć pół żartem, pół drwiąco, i w sposób, który ją zmusił do zaniechania od razu dalszéj rozmowy w tym przedmiocie.

Po wyjeździe pani Ingram i jéj córek, spodziewałam się widzieć nieustannie Rochestera pędzącego w stronę Ingram-parku. Zamek ten był wprawdzie oddalony o mil dwadzieścia, ale czemże jest przestrzeń dla zakochanych, a tem bardziéj dla tak niezmordowanego jeźdźca? Przewidywania moje okazały się jednak zupełnie mylnemi, bo upływały dni i tygodnie, a Rochester nie odwiedził ani razu pięknéj Bianki. Stopniowo, poczęły się znowu budzić we mnie nadzieje niebezpieczne dla mojego spokoju, poczęłam wnosić że ten związek był zerwany, lub że wieści o nim były przedwczesne i że ani z jednéj ani z drugiéj strony ostateczne słowo nie było wyrzeczone. Badałam uważnie twarz Rochestera, i dziwiłam się widząc ją tak rozjaśnioną jak nigdy dotąd. Owszem, jeżeli mi się zdarzało kiedy w jego obecności ulegać jakiemu smutnemu usposobieniu i pozostawać czas jaki milczącą, umiał się okazywać wesołym aby mnie rozweselić, wesołym po młodemu, szczerze, dobrodusznie, jakby się sam zabawiał pustemi swojemi żartami. Nigdy przedtem nie żądał tak często mojéj obecności, nigdy się dla mnie tak dobrym nie okazywał, i nigdy też, niestety, nie kochałam go tyle!...

XII.

Tak upłynęło parę mięsięcy. Pewnego dnia letniego, było to, pamiętam, w sam przeddzień Ś-go Jana, Adela zmęczona całodziennem zbieraniem poziomek w lesie, położyła się bardzo wcześnie, zostałam przy niéj dopóki nie zasnęła, potem poszłam do ogrodu.

Przechadzałam się w pobliżu domu przez czas niejaki, gdy w tem doszedł mnie dym cygara wychodzący z gabinetu Rochestera. Spojrzałam ku oknu, zasłony zdały mi się trochę uchylone, nie chcąc więc być zobaczoną, schroniłam się do owocowego ogrodu. Był on gęsto zasadzony drzewami, opasany bardzo wysokim murem i oddzielony ulicą bukową od parku. Główną ozdobą tego miejsca stanowił duży klomb z drzew laurowych i rozmaitych krzewów, wśród którego krzyżowały się liczne drożyny zacienione, wiodąc do obszernego trawnika na środku, którego znajdował się ogromny kasztan ostawiony ławkami.

Kiedy dochodziłam do tego schronienia ukrytego wśród zieleni, zdało mi się że czuję znowu tenże sam zapach tytoniu, który mię przed chwilą wypłoszył z ogrodu, mieszający się z wonią rozsypanych do koła kwiatów.

— Jest to niezawodnie cygaro Rochestera, pomyślałam, trzeba ztąd odejść co najprędzéj.

Ruszyłam więc ku furtce wiodącéj do szkółki, ale zobaczyłam wchodzącego nią Rochestera... Usunęłam się zatem na bok pod małą altankę obrosłą powojem, pewna że nie potrafi mnie tam dostrzedz. W tem owad jakiś skrzydlaty z brzękiem przelatując, upadł na trawę przy samych nogach mojego pana. Wcisnęłam się lepiéj pomiędzy gałązki powoju, wstrzymałam nawet oddech, żeby nie zdradzić mojéj obecności, ale usiłowania te były daremne. Rochester bowiem nachylił się ku ziemi dla lepszego przypatrzenia się owadowi, a potem nagle zwracając się ku mnie, rzekł:

— Chodźno panno Joanno, przypatrz się jak piękny spotkałem egzemplarz.

(Dalszy ciąg nastąpi).